

Latarnik dziecięcej wyobraźni

GRZEGORZ PIOTROWSKI

W czasach tych (myślę o pierwszej połowie lat 80. XX w.) posiadanie domowego magnetowidu nikomu w Polsce – oczywiście nikomu spośród „przeciętnych zjadaczy chleba” i „zwykłych ludzi pracy”, do których zaliczali się moi rodzice – jeszcze się nie śniło, aczkolwiek sprzęt ten musiał już dotrzeć do tej części Europy; pojawia się przecież nawet, jako symbol czarnorynkowego dobrobytu, w *Dworcu dla dwojga* Eldara Riazanowa. Musiałem więc czatować pod często psującym się Jowiszem uzbrojony w przenośny magnetofon, żeby uchwycić przynajmniej ścieżkę dźwiękową ulubionej audycji bądź filmu. Czatować, ale i błagać domowników, by w czasie emisji zachowali wyrozumiałą ciszę. Nie było to łatwe, zwłaszcza w sobotnie przedpołudnie, i nieraz kończyło się awanturą lub łzami sześcio- czy siedmiolatka, którym wówczas byłem. Inna trauma sobotnich seansów wiązała się z tym, że niekiedy – o, złośliwy losie – na kwadrans przed zakończeniem ojciec odrywał mnie od ekranu (trzeba było akurat odwiedzić dziadków lub wyjść na spacer); konkluzja przepadała wtedy bezpowrotnie! Na pewno jednak raz (ściślej: dwa razy) uniknąłem tego nieszczęścia: 6 i 13 lutego 1982 r., przy okazji dwuodcinkowego programu o Marilyn Monroe. Nagranej wtedy kasety Sony – a był to przedmiot luksusowy, zarezerwowany na wyjątkowe okazje – słuchałem później wielokrotnie i w błogostanie.

Atrakcją sobót i po części piątków mojego dzieciństwa był cykliczny *Gwiazdozbiór* Aleksandra Jackiewicza¹ – niemalże jedyna wówczas dla mnie szansa zobaczenia ulubionych aktorów i fragmentów „legendarnych” filmów, o których wcześniej mogłem tylko czytać (lub studiować pochodzące z nich fotosy) w książkach z domowego księgozbioru. We wspomnianym dwudzielnym wydaniu (ten wyjątek Jackiewicz uczynił tylko dla Chaplina, Garbo i Monroe), poświęconym uwielbianej gwiazdzie, krytyk posłużył się fragmentami filmu montażowego *Marilyn* w reżyserii Harolda Medforda; dzięki temu mogłem nie tylko zobaczyć sceny z *Pół żartem, pół serio* czy *Mężczyźni wolą blondynki* (filmów tych, trudno uwierzyć, nie znałem jeszcze), lecz także drogocenne dla mnie obrazy z początków kariery Monroe oraz próby do jej nieukończonego, ostatniego filmu *Coś trzeba dać*. W podobny sposób, pamiętam, przeżywałem wcześniej wyimki z *Królowej Krystyny* czy *Ludzi z hotelu* z Gretą Garbo. Dlaczego? Któż po latach może to odtworzyć!

Jackiewicz, mistrz ceremonii, wiekowy, ale wciąż przystojny, z błyskiem w oku, prowadził narrację charakterystycznym barytonem. Mówił, jak pisał: wartko, barwnie, pewnie, mnożąc przymiotniki i paralele. Zapalał się – i studiował swoje emocje, dążąc do intelektualnego uogólnienia. Nie zawsze go rozumiałem; pół dzieciństwa zastanawiałem się, co znaczy, że *film jest sztuką ulicy*... (Czy był

to cytaty z André Bazina, do którego Jackiewicz często chyba się odwoływał?). Ale efektowne, plastyczne i wyraziste sformułowania zapadały głęboko w pamięć i serce. Do dziś pamiętam więc, że Marilyn Monroe miała, zdaniem Jackiewicza, *coś z cudownego pieska, wspaniałego kotka, no, po prostu: świetna dziewczyna!* A *Królową Krystynę* Rouben Mamoulian *spartaczył*, każąc *Boskiej*, jakby kiczu było jeszcze zbyt mało, zastygnąć z martwą twarzą na dziobie odpływającego statku. I jak to się dzieje – dziwił się Jackiewicz – że oczu od tego oderwać nie można, a twarz Garbo wyraża wszystko, nie wyrażając nic!

Niewątpliwie Jackiewicz nie obawiał się „mieć poglądy”. Podobnie jak choćby polscy muzykolodzy jego generacji (przykładem Józef Michał Chomiński) bywał, w tekstach pisanych i audycjach telewizyjnych, na bakier z „nową historią”, w tym wypadku kina: powielał czasem stereotypy, utrwał hierarchie, powtarzał niekiedy obiegowe a niezweryfikowane sądy... Miał jednak odwagę i umiejętność – obecnie zupełnie rzadką – tworzenia syntetycznych ujęć ewolucji sztuki filmowej, a także lapidarnego a celnego kreślenia artystycznych osobowości. Być może również dlatego, że był – w pełnym tego słowa znaczeniu – pisarzem.

Nieco przekornie wobec własnych zainteresowań związkami literatury i kina² nie traktował nigdy – czego nie znośłem wtedy i nie znoszę do dziś – filmu jak literatury, wyłącznie z perspektywy opowiadanej historii, bez uwzględnienia swoistości języka filmowego. Chyba rzeczywiście był antropologiem kina – na ekranie interesował go człowiek. Człowiek widziany w kontekście kultury, w konkretnym czasie i miejscu, lecz zawsze z tymi samymi pragnieniami, które mogli dzielić z nim widzowie.

GRZEGORZ PIOTROWSKI

¹ *Gwiazdzbior* był emitowany w I lub II programie TVP – w soboty, rzadziej w piątki – między 9 lutego 1980 a 13 marca 1982 r.; w sumie Jackiewicz zrealizował prawie 50 audycji.

² Zob. zwłaszcza: A. Jackiewicz, *Film jako powieść XX wieku*, Warszawa 1968; tenże, *Nie-*

bezpieczne związki literatury i filmu, Warszawa 1971; tenże, *Historia literatury w moim kinie*, Warszawa 1974; tenże, *Moja filmoteka. Literatura i teatr w filmie*, Warszawa 1989.